LEGENDY PODLASIA

Tomasz Lippoman

LEGENDY PODLASIA



Instytut Wydawniczy
Kreator

Redakcja: Mariusz Warda
Projekt okładki: Anna Drozdowska
Ilustracje: Robert Lichodziejewski
Skład komputerowy: Maciej Grycz
Korekta: Ewa Skarżyńska

© Copyright for this edition by Instytut Wydawniczy Kreator, Białystok, 2008.
All rights reserved, including the right of reproduction in whole or in part in any form.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być powielana ani rozpowszechniana za pomocą urządzeń elektronicznych, mechanicznych, kopiujących, nagrywających i innych bez pisemnej zgody posiadaczy praw autorskich.

Wydanie I
BIAŁYSTOK 2008
ISBN 978-83-7377-330-1



INSTYTUT WYDAWNICZY
KREATOR

15-762 Białystok
ul. Antoniuk Fabr. 55/24
(085) 662-92-67 – redakcja
(085) 654-78-06 – sekretariat
(085) 653-13-03 – dział handlowy – hurt
(085) 654-78-35 – sklep firmowy – detal
www.iwk.pl e-mail: biuro@iwk.pl

PRINTED IN POLAND

Spis treści

1. Bagiennik biebrzański 7
2. Mgła 12
3. Duch puszczy 16
4. Boćki 20
5. Światło życia 24
6. Dwaj bracia 25
7. Brzoza 28
8. Skarb Mateusza 31
9. Za grobową deskę – białowieskie kurhany 37
10. Białowieskie miejsca mocy 42
11. Wstąpił do piekieł 46
12. Czarownica z Giełczyna 50
13. Szkarłatna Oberża 55
14. Jak Ali Popławski z upiorami się barował 59
15. Rykowisko 63
16. Gorbacz 69
17. Złote pole 71
18. Naznaczony dzik 75
19. Jak mydło do Polski przybyło? 78
20. Wilk 82

21. Ilja ze Świętego Gaju 85
22. Dobra śmierć 90
23. Tykociński utopiec 93
24. Legendy korczewskiego pałacu 101
25. Wodnik z jeziora Hańcza 107
26. Tak, tak, nie, nie 110
27. Rusałka znad jeziora Wiżajny 114
28. Gębala 117
29. Szlakiem legend narwiańskich błot 121
30. Jezioro duchów 130
31. Nietupa 133
32. Królowa drzew 137
33. Puszcza czterystu źródeł 141
34. Licho z Cieliczańskiego Lasu 144
35. Posag 148
36. Witek Ptasznik 153
37. Latawica z Drohiczyna 158
38. Puszczyk 162
39. Most widmo w Mielniku nad Bugiem 164
40. Kochankowie z jeziora Dreństwo 167
41. Kiermusy 172
42. Klątwa Stekinta 178
43. Piekielne Wrota 182
44. Wierzba 191
45. Podlasie nadbużańskie – kraina magiczna 195
46. Wieś Kondycja 200
47. O powstaniu Supraśla 203
48. Skarb Krzemiennej Góry 205

Bibliografia autora 211

1.

Bagiennik biebrzański

Biebrza to rzeka, prawy dopływ Narwi. Biebrza to jednak dużo więcej. To coś, co chyba jednak łatwiej przeżyć, niż opisać. Jak bowiem zamknąć w słowach pustkę torfowisk, nocne toki dubeltów, gulgotanie cietrzewi w szronie marcowego świtu? Jak namalować słowami wędrujące pod najszerszym podlaskim niebem łosie czy ciszę niezmąconą żadnym obcym dźwiękiem? Jakie słowa oddadzą lekkość ruchu smukłej pychówki, zręcznie prowadzonej przez człowieka, który jest tu od zawsze, jak kamień, jak zakole rzeki, jak brązowy bekas? Trudne to zadanie. Najtrudniej jednak chyba opisać Biebrzę zimą. Przeróżna bywa w swej zastygłej monotonii. Raz wygląda bowiem jak świeżo wykrochmalone prześcieradło rodu olbrzymów, by po chwili odmienić się w paletę malarza, co świat w odcieniach brązów, żółci i bieli postrzega. Gdy wiatry nadciągną z północy, Biebrza jest jak Bałtyk w sztormowy wieczór. Nie ma wtedy traw, nie ma drzew, bo wszystko znika, aby chmury stały się Biebrzą, a Biebrza chmurami. Wiosną Biebrza to bogactwo ptasiego harmidru, nieposkromiony festiwal żółtej barwy kaczyńców i jaskrów, latem coś jakby afrykańska sawanna, jesienią nostalgia za czymś, jakże trudnym do określenia, a zimą... Właśnie zimą kraj to najmniej przystępny, najbardziej człowiekowi nieprzyjazny i najbardziej dziki. Zimą biebrzańskie pustkowia najchętniej odsłaniają swą duszę, co jednak nie znaczy, że można ją łatwo dostrzec. Jest w niej posmak skórki dobrze wypieczonego chleba, jest zapach bez woni i pieśń bez dźwięku, jest poezja bez słów. Zimą biebrzańskie błota zapełniają duchy, co nie dzwonią łańcu-

chami, nie zwodzą w topiel, duchy, co są w tej krainie, bo nie mogą nigdzie indziej być... Jest także w mroźne noce pieśń wilka, którą tylko głupiec opisać próbował będzie. Jest tu szelest ponowy śnieżnej, co w podmuchach wiatru jak pałeczka Jankiela gra pieśń zimową na lodowej warstewce śniegowych cymbałów. Jest tam zimą niekiedy ptak drapieżny, co szuka na pustkowiu innego stworzenia. A człowiek? Czy człowiek też jest tam zimą? Nie ma człowieka. Czasem jakiś zbłąkany wędrowiec, czasem miejscowy, co musiał od chaty swej odejść. Człowieka tam nie ma. Co mógłby robić w miejscu tak dzikim? Patrzeć? Na co? Słuchać? Czego? Nawet łoś, najbardziej biebrzański mieszkaniec tego kraju, zimą chowa się w lasach olszowych, co okalają rzeczne moczary. Może więc wilk dziki? Jego tam też nie ma, lecz w niektóre noce jest tam pieśń wilka, pieśń, co w klatce słów naszych nigdy nie zamieszka.

Wedle miejscowej legendy, najwierniejszym mieszkańcem tej przedziwnej krainy jest demon – bagiennik. Niewielu śmiertelników widziało go jednak na własne oczy. Wędrując po biebrzańskich torfowiskach, spotkacie niekiedy bąble gazu, wydobywające się z dna zastoisk. Naukowcy powiedzą wam, że to gazy gnilne, składające się głównie z metanu. Starzy biebrzańcy doszukają się w tym jednak obecności demona. Kto ma rację? Trudno dociec. Czasem jednak, zwykle w bezksiężycowe, pochmurne noce, na nigdy niezamarzających oparzeliskach, usłyszeć można odgłos czegoś ciężkiego, wpadającego do wody. Może być to spłoszony bóbr, plaskający ogonem. Czy zawsze jednak jest to bóbr? Nieliczni, którzy na własne oczy widzieli bagiennika, mówią, że nigdy nie opuszcza on swej topieli. Niekiedy wystawia z błota brunatną, wielką

głowę, by zaczerpnąć powietrza nozdrzami umieszczonymi na czole. Podobno czyni to jednak nie tyle z konieczności, co ze zwykłego kaprysu. Oddycha bowiem przez cienką, zielonkawo-brunatną skórę, czerpiąc tlen wprost z wody. Bagienniki, w przeciwieństwie do utopców i wodników, zwykle nie czynią ludziom krzywdy. O prawdziwości tego twierdzenia świadczyć może poniższa historia. Zanim ją wam jednak opowiem, wspomnieć muszę o kilku ważnych dla niej sprawach. Demon ów potrafi strzelać z nozdrzy błotnistą, gorącą substancją, która, co ciekawe, ma właściwości uzdrawiające. Okłady z tejże mazi leczą ciężkie, niegojące się rany, choroby serca, reumatyzm, bóle krzyża i wiele innych przypadłości. Z drugiej jednak strony, oddech bagiennika jest podobno zabójczy. Ostatnia ważna dla naszej historii informacja dotyczy hierarchii słowiańskich bóstw. Bagiennik mianowicie jest demonem niższego szczebla, oddającym hołd Pani Jezior i Płytkowodzi, zwanej też Królową Podwodnych Łąk i Panią Ryb.

***

Rzecz działa się nie tak dawno temu, bo na przełomie XVIII i XIX w. We wsi Brzostowo, chętnie dzisiaj odwiedzanej przez amatorów podglądania wodnego i błotnego ptactwa, mieszkał wraz z ojcem Jan Mocarski. Obaj byli rybakami, jak większość sąsiadów. Pewnego wrześniowego wieczoru ojciec naszego bohatera wybrał się na rzekę, by zapolować na dużego suma. Zabrał ze sobą zapas grubej linki, solidne haki i kilka martwych płotek – na przynętę. Noc była ciepła, ale pochmurna i zanosiło się na deszcz. Stary Mocarski zarzucił

przynętę na głęboczek, zapalił skręta i czekał. Tuż przed północą miał branie. Nawinięty na olszynowy kołek sznur błyskawicznie pogrążał się w czarnej wodzie. Doświadczony rybak nie próbował podrywania, wiedział bowiem, że duża ryba potrzebuje sporo czasu, by połknąć przynętę.

Gdy jednak linka niemal w całości odkręciła się z kołka, zaciął. Teraz jednak sum przejął inicjatywę. Ciągnął twardo pod prąd. Stary nie chciał stracić ryby i popuszczał po trosze po kawałku linki. Wkrótce nie miał już jednak czego popuszczać. Koniec sznura owinął więc wokół dłoni. Sum twardo ciągnął, sznur wrzynał się w ciało do krwi. Walka trwała niemal do wschodu słońca. Wielka ryba holowała łódź kilka kilometrów w górę rzeki. Gdzieś w okolicach wsi Biodry staremu udało się ją zmęczyć. Wyholował olbrzyma na mieliznę, ogłuszył osinową pałką i wciągnął do wąskiej duszyhubki. Tuż po wschodzie słońca był w domu z niemal siedemdziesięciokilogramowym, dwumetrowym sumem. Próżno dzisiaj szukać takich ryb w naszych wodach. Wytrute, wybite prądem, osaczone sieciami, należą już do legendy. Mocarski wrócił do chaty dumny jak paw. Dochód z takiej zdobyczy pozwalał na godne życie przez kilka tygodni. Uznanie sąsiadów też nie było bez znaczenia. Mijały coraz krótsze jesienne dni. Rana na dłoni rybaka nie chciała się jednak goić. Okalające biebrzańską dolinę lasy wypełniały się bogactwem barw. Brzegi zielonych borów pojaśniały żółcią brzóz. W grądach złociły się klony i osiki, rozjaśniając brązowe plamy dębów i grabów. W dolinach strumieni z ciemną zielenią olch żywo kontrastowały złote pióropusze jesionów. W nieco suchszych miejscach torfowisk, na rdzawej palecie traw i turzyc, żółto

dźwięczały przysadziste kępy krzaczastych wierzb. Stary nie mógł jednak, jak co roku, cieszyć się urokami jesieni. Zraniona dłoń paliła go i rwała, z dnia na dzień coraz bardziej. Nie pomagały okłady z torfu i sprawdzonych ziół. Palce zaczęły czernieć, do rany wdała się gangrena. Ból był tak nieznośny, że stary błagał syna, by odciął mu dłoń. Ten jednak udał się do miejscowej poszeptuchy. Zielarka poradziła Janowi, by na początek złożył ofiarę z najprzedniejszych ryb Pani Jezior i Płytkowodzi, a następnie ciemną, pochmurną nocą udał się nad brzeg Biebrzy i przywabił bagiennika świeżym, tłustym węgorzem oraz dymem z dębowych liści, wyprażonych w piecu chlebowym. Zanim jednak wywoła z moczarów demona, powinien starannie owinąć głowę lnianym płótnem. Jak wiemy bowiem, oddech bagiennika jest zabójczy, a maź, którą strzela on z nozdrzy, gorąca jak ogień. Młody Mocarski zastosował się do zaleceń zielarki. Pierwszej nocy nic się jednak nie wydarzyło. Słyszał tylko puszczyki nawołujące się z pobliskiej dąbrowy. Drugiej nocy coś ciężkiego wpadło do wody, chociaż nie było ani krztyny wiatru. Trzeciej nocy z Biebrzy wyłonił się bagiennik, by odebrać swoją ofiarę. Najpierw ukazała się wielka, żabia głowa. Szeroka, bezzębna paszcza pochwyciła węgorza i po chwili wszystko zniknęło. Jan jednak czekał. O brzasku demon pojawił się raz jeszcze na bardzo krótką chwilę, by strzelić gorącą mazią wprost na owiniętą lnianym płótnem głowę rybaka. Ile w tej historii prawdy, trudno dociec. Podobno jednak stary Mocarski nie stracił zaatakowanej przez gangrenę dłoni i dożył lat ponad dziewięćdziesięciu, co jak na owe czasy było nie lada wyczynem. Na coś się więc jednak maź bagiennika przydała. Wszak do dziś dnia ludzie zażywają dla zdrowia kąpieli borowinowych, które, jak wia-

domo, z bagna pochodzą. Czy bagiennik nadal nad Biebrzą przebywa? Trudno powiedzieć. Jak bowiem wszystkim dobrze wiadomo, niewielu śmiertelników może go ujrzeć na własne oczy.

2.

Mgła

Legenda z Puszczy Knyszyńskiej

Bardzo dawno temu była sobie szczęśliwa kraina. Niczego w niej ludziom, zwierzętom, grzybom, roślinom ani nawet i najmniejszym bakteriom, do szczęścia nie brakowało. Rośliny cieszyły się dostatkiem światła słonecznego, wody oraz tego wszystkiego, co czerpały z gleby i powietrza.

Nie było ich bowiem ani za mało, ani za dużo. Zwierzęta roślinożerne korzystały z dostatku roślin, a drapieżcy z dostatku zwierząt, które karmiły się roślinami.

Ludzie czerpali pełnymi garściami z całego bogactwa otaczającego ich świata, a grzyby i bakterie zwracały glebie wszystko to, co się w niej powinno znajdować, zostawiając sobie w sam raz tyle, ile im do szczęścia było potrzeba.

Historia, którą zamierzam wam opowiedzieć, działa się w czasach, gdy na ziemi niepodzielnie panował las. Nie było jeszcze miast ani nawet prawdziwych wsi. Nie było szerokich dróg, a ludzie mieszkali w skromnych chatach, które niekiedy, ciążąc ku sobie, tworzyły niewielkie osady. Była to kraina, w której nie istniało pojęcie postępu, bo wszystko, co się tam działo, nie pozostawiało po sobie żadnej istotnej zmiany.



Wycięte, a częściej powalone przez wiatr lub piorun drzewo zastępowane było następnym, a upolowane przez człowieka lub innego drapieżcę zwierzę zwalniało przestrzeń dla kolejnego zwierzęcia, będącego zwykle bliskim krewnym tego, które to właśnie opuściło ów leśny padół. Podobnie rzecz miała się z ludźmi, którzy żyli w bardzo małych społecznościach, że każdy z nich wiedział bardzo dużo o innych.

Leśny świat kręcił się po orbitach mniej więcej kolistych, podobnie jak gwiazdy czy planety.

Dnia pewnego, a było to późną jesienią, może w końcu października, a może już w listopadzie, trudno powiedzieć, bo kalendarz nie był wówczas nikomu do szczęścia potrzebny, do leśnej krainy przybyła mgła.

Nie był to zwykły mglisty tuman, który pojawia się tuż przed świtem lub tuż po zmierzchu, by roztopić się w promieniach wschodzącego słońca.

Była to mgła natrętna, bezwzględna i nieustępliwa, mgła tak gęsta, że promienie słonecznego światła odbijały się od niej i powracały z powrotem do nieba.

O takiej mgle mówimy dziś, że jest gęsta jak mleko. Do czego ją wówczas porównywano, trudno dociec. Mleko było w owych czasach pokarmem li tylko osesków, które niewiele mówią, a dorośli mieszkańcy leśnego świata gasili pragnienie owocami lub wodą czerpaną wprost ze źródeł.

Mgła wypełniła leśny świat bez reszty, była tak nieprzenikniona, że człowiek nie widział nawet własnej dłoni wyciągniętej na długość ramienia. Oplatała i spowijała każdą gałąź, kwiat, drzewo i ścieżkę. Powietrze stało się mgłą, a mgła powietrzem.

Kto wie, może to chmury zeszły na ziemię, by przyjrzeć się z bliska, jak wygląda życie?

Owady przestały latać od kwiatu do kwiatu i ginęły z głodu. Ginęły ptaki i jaszczurki żywiące się owadami. Ginęły nietoperze i ginęły żaby i ropuchy, które, jak wiadomo, także żywią się głównie owadami.

Z początku większość ssaków miała się nie najgorzej, zbierając pokarm na ziemi, wyszukiwały go bowiem węchem. Ludzie jednak szybko spożyli skromne zapasy zgromadzone w domach. Wcześniej bowiem zapasów gromadzić nie musieli, gdyż las przez okrągły rok dostarczał im wszystkiego, co niezbędne do dostatniego życia.

W ślad za głodem przyszło niezrozumienie nowej sytuacji, a za niezrozumieniem przyszła refleksja, na którą ludzie nie byli jednak w żaden sposób przygotowani.

Płacz głodnych dzieci rozdzierał serca i dusze, dusze, z których istnienia nie zdawano sobie wcześniej sprawy. Dusze,

w których wraz ze świadomością ich posiadania zakiełkowało poczucie winy.

Nie minęło czasu wiele i zaczęto zabijać dzieci. Mordowano je, by nie słyszeć płaczu. Zjadano ich ciała, by przeżyć. Poczucie winy się pogłębiało. W ślad za puchnącym poczuciem winy pojawiła się potrzeba przeniesienia odpowiedzialności gdzieś poza siebie. Zewnętrze było mgłą, mgłą, do której zaczęto przemawiać, którą spersonifikowano i którą zaczęto błagać o dobrostan. Niewydeptywane ścieżki zarastały. Kochankowie nie docierali do swych wybranek, kobiety nie spotykały się przy źródłach.

Mijały tygodnie i miesiące. Mgła w niektórych miejscach zaczęła rzednąć. Tam życie wracało do stanu, który był zbliżony do znanego z przeszłości. Po leśnej krainie, w poszukiwaniu lepszego świata, wędrowały ludzkie gromady, wynędzniałe i przerażone. Nieliczne trafiały w miejsca, które opuściła mgła. Tam wybuchały wojny o lepsze życie.

Z czasem zapominano o dawnym spokojnym i dostatnim życiu, a odpowiedzialność za niezrozumiałe zmiany przeniesiono z mgły na las. Las stał się wrogiem człowieka. Wycinano więc las. Odsłaniano pola, na których uprawiano rośliny i hodowano zwierzęta. O pola toczyły się wojny jeszcze krwawsze niż te, które toczono wcześniej o fragmenty lasu wolne od mgły.

Rozrastały się arsenały broni i narzędzi do uprawy roli. Na przemian przekuwano to lemiesze na miecze, to miecze na lemiesze. Budowano nowe świątynie, o które toczono jeszcze krwawsze wojny. Postęp utrwalał się z pokolenia na pokolenie, choć mgła dawno już odeszła i dziś, jeśli się gdzieś pojawia, to już nigdy w tak dramatycznej postaci.

Kiedyś jednak znowu pojawi się mgła nieustępliwa i zmieni świat tak bardzo, że znów przez bardzo długi czas niepodzielnie będzie panował las, a postęp skryje się gdzieś pod korzeniami drzew.

3.

Duch puszczy

Czym różni się łąka od lasu, wie każde dziecko. Jeśli jednak mówimy o tym, co odróżnia las od puszczy, sprawa bardziej się komplikuje, choć niekiedy i to bywa dziecinnie łatwe.

Weźmy losowo wybrane zbiorowisko drzew w naszym kraju, najczęściej zresztą sosen. Drzew w podobnym wieku, sadzonych pod sznurek. Już na pierwszy rzut oka zauważymy, że z puszczą nie ma ono wiele wspólnego.

Trudniej jednak zdefiniować, czym tak naprawdę jest owa puszcza.

Dawniej imię to nadawano obszarom pustym, bezludnym, dzikim. Z czasem słowo „puszcza" zaczęło ewoluować, a może nawet i się w pewnym sensie dewaluować. Określano nim po prostu duże kompleksy leśne, mniej lub bardziej naturalnego pochodzenia.

We współczesnej polszczyźnie oba znaczenia tego samego słowa wydają się funkcjonować niemalże wymiennie, co bywa mylące.

Mamy więc Puszczę Kurpiowską, Białą czy Kozienicką, które, tak na dobrą sprawę, pozostały puszczami li tylko z nazwy w jej nowszym kontekście. Ani one już nie są naturalnymi

lasami, ani specjalnie rozległymi, a do tego są silnie rozczłonkowane.

Mamy jednak u nas i Puszczę Białowieską, która, pomimo iż od osiemdziesięciu lat jest rabunkowo eksploatowana, pocięta siecią dróg i linii oddziałowych, wciąż zachowała w sobie ponad 30% lasów naturalnego pochodzenia i niemało pomnikowych drzew, a do tego jest niewątpliwie lasem dużym, o zwartych granicach.

Mamy też na wschodnich rubieżach Polski i Puszczę Knyszyńską, która jeszcze bardziej wymyka się prostej klasyfikacji. Jest to bowiem niewątpliwie duży, zwarty kompleks leśny o powierzchni ponad ośmiuset kilometrów kwadratowych. Znajdziemy w nim fragmenty lasów pochodzenia naturalnego o dużej różnorodności gatunków roślin, zwierząt, grzybów. Znajdziemy tu miejsca podmokłe, puste, bezludne, trudno dostępne, w szczególności w pobliżu bardzo licznych źródlisk, w bagiennych dolinach rzecznych. Spotkać tu można nawet żubry, wilki, rysie, sóweczki, puchacze czy dzięcioły białogrzbiete, a więc gatunki zwierząt wybitnie związane z lasami pochodzenia naturalnego, z prawdziwymi puszczami, jakie w dawnych czasach zwartym kobiercem pokrywały niemal cały obszar naszego kraju. Nie można jednak zapominać, że w przeważającej większości ten knyszyński las został posadzony ręką leśnika.



I tu pojawia się refleksja. Co decyduje o tym, że pew-

ne kompleksy leśne są obecnie puszczą tylko w historycznym znaczeniu tego słowa, podczas gdy inne zachowały w sobie nieco większy pierwiastek owej prawdziwej, dzikiej, samowystarczalnej puszczy?

Historyk, rozważając to zagadnienie, położy z pewnością nacisk na nierównomierne tempo kolonizacji tych czy innych ziem, związane na przykład z ich pogranicznym położeniem, wojnami wyludniającymi pewne obszary i równocześnie oszczędzającymi inne.

Geolog wyeksponuje być może cechy naturalnej rzeźby terenu czy też jego silne zabagnienie utrudniające kolonizację.

Przyrodnik z kolei podkreśli choćby i znaczną miąższość próchnicy pozwalającą na łatwiejsze odnawianie się wielu typów lasu czy naturalne zasięgi poszczególnych gatunków istot żywych, które na danym terenie wykształciły silne, stabilne populacje.

Jeszcze inny punkt widzenia mają na tę sprawę miejscowi. Ludzie od wielu pokoleń mieszkający w puszczy i znający ją niejako od podszewki. Jeśli spędzicie z nimi wystarczająco dużo czasu, jeśli zaskarbicie sobie ich zaufanie, opowiedzą wam o duchu puszczy. O owej nieuchwytnej sile, wymykającej się naukowym kwalifikacjom. O duchu, który w tajemniczy sposób sprawia, że pewne lasy wciąż mają w sobie to coś.

Dawno temu, w samym środku knyszyńskiej kniei, w okolicach dzisiejszego Szudziałowa, żyła sobie pewna kobieta. Mieszkała samotnie w skromnej, drewnianej, krytej trzciną chacie. Nie byłoby w tym nic szczególnego, gdyby nie to, że pokolenia puszczańców przemijały, a ona wciąż i wciąż trwała. Leczyła ludzi, hodowlane zwierzęta, a podobno też i te dzikie, leśne.

Jak głosi legenda, znała ich mowę, a one bezgranicznie jej ufały.

Znała się także i na magii, zarówno tej białej, która leczy, pomaga, jak i czarnej, która szkodzi, a nawet odbiera życie.

Nazywano ją różnie: Zielarką z Boru, Szeptuchą, Matiuszką. Niektórzy wierzyli, że jest równie stara jak sam las, że była tu od zawsze i że na zawsze pozostanie.

W drugiej połowie XIX wieku Puszczę Knyszyńską zaczęto jednak trzebić z taką zaciekłością, jakby była największym wrogiem człowieka.

Nie chodziło jednak zapewne o jakąś szczególną niechęć do tego pięknego lasu. Chodziło po prostu o pieniądze.

Tydzień za tygodniem leśną głuszę mącił stukot siekier. Wytyczano wciąż nowe drogi, by wywozić nimi transporty kubicznych metrów leśnego urobku.

Coraz mniej było spokoju w lesie, coraz więcej ludzi o oczach pełnych żądzy łatwego zysku.

Pewnego dnia, jakoś tak na przełomie XIX i XX stulecia, Zielarka z Boru w tajemniczy sposób zniknęła. Ciała kobiety nigdy nie odnaleziono. W tym samym czasie jednak, w uroczysku Bahno w Borkach, na niewielkiej mineralnej wyspie wśród bagien, pojawiły się trzy dorodne sosny o niezwykłych kształtach. Miejscowi wierzą, że w te właśnie drzewa, symbolizujące wytrwałość, rozum i siłę, przemieniła się ich Matiuszka.

Kto wie, może właśnie te trzy wyjątkowe sosny uchroniły Puszczę Knyszyńską przed losem wielu innych? Przed smutnym losem wielu innych lasów, które w naszych czasach pozostają puszczami już tylko z nazwy?

W dniu czternastych urodzin Dobrosława wybrali się całą, powiększoną w przeciągu tych kilku lat, rodziną, nad brzeg nieodległego Dreństwa.

Odwiedzili ojcowiznę Judyty, a także wyspę, która chroniła ją i pierworodnego przez długie dwa lata.

Tam, jak głosi legenda, Sławoj zakopał królewski rubinowy pierścień na pamiątkę spotkania w Knyszynie.

Niecałe czterysta lat temu wyspa była dużo większa niż obecnie. Nikt nie wie, gdzie został ukryty cenny klejnot. Być może skrywają go już wody jeziora. Legenda głosi jednak, że znalazca rubinowego pierścienia wybrnie bez uszczerbku z najgorszej opresji oraz zazna szczęścia, w nawet z pozoru najbardziej nieszczęśliwej miłości.

41.

Kiermusy

Co sprawia, że jedna ludzka sadyba popada w zapomnienie, podczas gdy inna, z pozoru podobna, rozrasta się i pięknieje?

Nikt chyba nie potrafi udzielić na to pytanie sensownej odpowiedzi.

Niekiedy jednak mamy szansę być świadkami tego tajemniczego procesu.

Dawno temu, kilka kilometrów na zachód od barokowego Tykocina, na lewym brzegu Narwi przysiadła skromna kolonia Kiermusy.

Trzy drewniane chaty, kilku mieszkańców, para koni, kilka krów, trzy psy i jeden bury kot.

Przed największą rzezią XX wieku letnisko Tykocina. Po wojnie zapomniany przysiółek. Obecnie modny i znany nie tylko w Polsce turystyczny kurort. Dworek nad Łąkami, Karczma Rzym, Jantarowy Kasztel, Dworskie Czworaki, Altana Zdrowia i Urody, Jarmark Staroci wabią dziś nieprzebrane rzesze turystów, w tym także i osoby z pierwszych stron gazet.

Można powiedzieć, że sprawa jest prosta. Wystarczyło pobudować przyjazne gościom miejsce, ogłosić to w szerokim świecie i spokojnie czekać.

Co jednak sprawiło, że stało się to akurat tutaj, a nie w jakimś innym podobnie urokliwym siedlisku?

Jedna z tykocińskich legend głosi, że w bliżej nieokreślonej przyszłości w Kiermusach nad Narwią będzie stolica Polski.

Dziwne to nieco, biorąc pod uwagę, że legenda powstała w czasach, gdy Kiermusy znane były wyłącznie miejscowym i liczyły sobie kilku stałych mieszkańców.

Czyż jednak dawno temu Kraków, Warszawa, Białystok nie były równie kameralnymi siołami?

Jedną z tych kilku stałych mieszkańców wioski jest pani Janina, wdowa po wójcie Tykocina z lat czterdziestych dwudziestego wieku.

Sędziwa już niewiasta pamięta czasy, gdy w Kiermusach stał młyn wodny, po którym do naszych czasów przetrwało zaledwie małe wzgórze nad starorzeczem Narwi.

We wrześniu 1939 roku na Podlasie wkroczyła sowiecka armia.

Najeźdźcy grabili pałace i dwory, nie szczędząc i co bogatszych włościan.



Młynarz z Kiermus w ostatniej chwili salwował się był ucieczką. Na wąską, drewnianą łódź zabrał cząstkę rodzinnej schedy, w tym, jak głosi miejscowa legenda, kuferek wypakowany złotymi monetami. Losy młynarza nie są do końca znane. Najprawdopodobniej jednak podczas ucieczki utonął wraz z dobytkiem.

Wygląda więc na to, że rodzinna historia zatoczyła ponure koło.

Dzieje kiermusiańskiego młyna sięgają bowiem zamierzchłych czasów, a z jego powstaniem związany jest ponoć sam imć Rokita, najbardziej polski z naszych diabłów.

Początki tej historii sięgają korzeniami połowy XVI stulecia, czasów ostatniego z Jagiellonów, Zygmunta Augusta.

Bona Sforza zadbała o wszechstronne wykształcenie jedynaka, który to wyrósł na prawdziwego człowieka odrodzenia,

protektora sztuki, która to za jego rządów kwitła w Polsce jak nigdy wcześniej.

Zygmunt August był człowiekiem ze wszech miar tolerancyjnym, nie dopuszczał do prześladowań innowierców i wojen religijnych. Chociaż w tym samym czasie w zachodniej Europie szalała rzymska inkwizycja.

Szczególnym okrucieństwem w walce z reformacją odznaczał się Gian Pietro Carafa, późniejszy papież Paweł IV, który to zasłynął z powiedzenia: „Gdyby mój własny ojciec popadł w najmniejszą choćby herezję, własnoręcznie zebrałbym drewno na stos dla niego".

Na zachód od rzeki Odry płonęły stosy. Pod pretekstem walki z diabłem mordowano niewinne kobiety, zielarki, położne, poszeptuchy, wszelkich innowierców, prawdziwych i wyimaginowanych wrogów politycznych.

A u nas kwitła demokracja. Utrwalały się swobody obywatelskie, dojrzewał parlamentaryzm.

Najpewniej w tym to właśnie czasie na polską ziemię zawitał Rokita i skromnie zamieszkał sobie w dziuplastej wierzbie. Od czasów pradawnych znane wszak ludu podanie. Mają w wierzbach rozstajnych czorty swoje mieszkanie. Rokita, czart polny swojski, ot, cząstka tej płaskiej krainy. Jak wierzba, kamień polny, jak stare nadrzeczne młyny.

Osiadł Rokita w Kiermusach może dla urody miejsca, a może i z innej przyczyny.

Jak powszechnie wiadomo, diablisko był z natury rzeczy uczciwy i zawsze dotrzymywał zawieranych z ludźmi umów. Nikogo do niczego nie przymuszał, a co najwyżej wykorzystywał ludzkie słabości, by zawlec od czasu do czasu jakąś

zbłąkaną duszę w czeluści piekielne. Nic w tym osobliwego, był przecież u Lucyfera na pełnym etacie.

Tu właśnie, w Kiermusach, w pewien wiosenny poranek trafiła mu się niezła gratka.

Bartosz stracił w pożarze cały dobytek. Chatę, stodołę, chlew i niemalże cały żywy inwentarz poszedł z dymem w przeciągu jednej kwietniowej nocy. Ostała mu się jedynie niezbyt dorodna jałowica i stara koza imieniem Lisa.

Chłopina zasiadł był samopas nad obojętnie toczącymi się nurtami Narwi i gorzko zapłakał nad swym, jak mu się wówczas zdawało, ponurym losem. Gdyby czytywał starożytnych chińskich mędrców, nazwałby tę osobliwą życiową przygodę ciekawym doświadczeniem. Najpewniej jednak nie czytywał ani dzieł dawno zmarłych Chińczyków, ani też i innych książek. Wielce jest prawdopodobne, iż Bartosz był, jak to się mówi, analfabetą.

Dopiero co zaczął się był dorabiać, wszystko szło tak dobrze, aż za dobrze. W przeciągu zaledwie trzech lat pobudował piękną gospodarkę. Za kilka tygodni zamierzał się żenić z bardzo apetyczną, piersiastą i zasobną panną i nagle taki los, taki sztos. W jedną ciepłą, wiosenną noc stracił niemalże wszystko i został nędzarzem.

Siedział więc sobie nieborak, uwolniony od bagażu bogactwa, nad rzeki zielonym brzegiem i pomstował na wyroki losu, gdy w obłoku siarki pojawił się sam Rokita.

– A czegóż tak płaczesz, dobry człowieku, czemuś smutny w tak piękną, wygwieżdżoną noc wiosenną – zagaił z niewinnym uśmiechem.

– Wszystko straciłem, Bóg mnie opuścił.

– Bóg daleko, a ja blisko, jeśli chcesz dostatnio żyć, bogato chodzić, ugodź się ze mną.

– U ciebie ceny wysokie, potępienie wiekuiste.

– Nie jest w piekle aż tak źle, jak ludzie mówią, byłem tam wiele razy i nigdy nie narzekałem. A poza tym możesz mnie spróbować przechytrzyć, wszak żeś nie kiep. Ostatnio się to przecież udało magowi Twardowskiemu i żyje sobie wygodnie na Księżycu, z góry na nas spogląda.

Bartosz znał historię słynnego maga. Podrapał się więc po głowie, podumał dwie chwile i tak do Rokity rzekł:

– Dobrze, mój panie. Zobaczym, kto z nas sprytniejszy. Takie oto warunki ci stawiam. Ty dasz mi miejsce, w którym bogactwo samo spłynie na mnie, ja zaś ofiaruję ci w zamian swą nieśmiertelną duszę, pod jednym tylko warunkiem. Będziesz mógł zawlec ją do piekieł tylko wtedy, gdy ja, płynąc po wodach tejże Narwi, dźwigał będę ciężar większy ode mnie samego.

Diablisko certolił się nieco, by po chwili wyciągnąć gotowy, spisany na świńskiej skórze kontrakt. Bartosz przypieczętował umowę krzyżykiem i kroplą krwi z serdecznego palca, wielce zadowolony z fortelu.

Nie umiał pływać, brzydził się wodą, a projekt pływania po niej z wielkim ciężarem był dla niego równie nieprawdopodobny, jak wzejście słońca w środku nocy.

Zanim trzeci kur zapiał, nad brzegiem Narwi stanął piękny młyn. Nie minęło więcej jak kilka niedziel, gdy Bartosz zaczął obficie porastać w piórka. Był to pierwszy młyn w okolicy. Najął czeladnika, liczył pieniądze i jeszcze przed zimą dobrze się ożenił. Panna bogata z domu, urodziwa, młoda, a co nie bez znaczenia, zasobna w grunt.

Żyli dobrze przez lat siedem. Płodzili dzieci, dokupowali pola, obrastali w sadło i dosypywali do kuferka złote monety.

Przyszła jesień, ciepła, złocista, a wraz z nią zawitał w tykocińskie okolice zbir straszny z bandą spod najciemniejszej gwiazdy. Bezlitosny, w szatę plugawą obleczony, nieszanujący praw ni boskich, ni ludzkich. Rudobrody. Grabił, mordował, sycił najgorsze żądze.

Dotarł i do Kiermus. Bartosz załadował na łódź beczkę pełną złota i nie oglądając się na żonę i dziatki, puścił z nurtem rzeki. Na pierwszym zakolu, tuż przed Pentowem czekał na niego Rokita. Łódź wraz z ładunkiem pogrążyła się w Narwi, a wraz z nią i sam młynarz. Powlókł diabeł duszę prosto do piekła, marną, niewiele wartą, ale jednak ludzką.

Podobno w ciepłe wrześniowe noce pomiędzy Kiermusami a Pentowem ukazuje się niekiedy duch głupiego młynarza, spoglądający z niedowierzaniem w wodę, wciąż i wciąż szukający utopionych talarów.

42.

Klątwa Stekinta

W Rajgrodzie jak w soczewce skupiają się dramatyczne losy zarówno tajemniczego ludu Jaćwingów, jak i w pewnym sensie nasze własne – Polan.

Jaćwieskie plemię, które zamieszkiwało Pojezierze Rajgrodzkie i przylegle do niego krainy jeszcze grubo przed narodzeniem Chrystusa, nie zdążyło wytworzyć dojrzałej struktury państwowej. Nie zdążyło, bowiem zostało zgładzone.

Aleksandryjski podróżnik Ptolemeusz wspomina w II wieku naszej ery o grodzie Raj założonym na wzniesieniu duże-

go półwyspu w południowej części jeziora. Na wzgórzu zwanym dziś Górą Zamkową. Tu właśnie rozegrał się jeden z ostatnich aktów dramatu Jaćwingów zaciekle zwalczanych przez Rusinów i Mazowszan i ostatecznie pokonanych przez zakon krzyżacki.

Akcja dramatu rozgrywa się w połowie XIII stulecia, tuż przed wyprawą księcia Daniela, który to w 1253 roku znalazł gród Raj w całkowitej ruinie.

Jeziorem Rajgrodzkim i przyległymi terenami rządzili Zlińcy, jedno z jaćwieskich plemion. Głową włości był Stekint, mężczyzna w sile wieku, średniego wzrostu, niebieskooki, szeroki w ramionach, obdarzony niepospolitą siłą fizyczną i niezłomnym charakterem. Wódz ten dobrze rozumiał czasy, w których przyszło mu panować. Zarzucił więc łupieskie wyprawy na tereny zamieszkane przez Mazowszan i Rusinów na rzecz umacniania warownej siedziby własnego plemienia.

Rany zadane przez jego poprzedników były jednak wciąż świeże.

Na czele wyprawy stał Bolko, syn Wiesława, jednego z mazowieckich wodzów plemiennych. Jak w każdej wyprawie wojennej, chodziło o łupy. Dobrym pretekstem było jednak zdarzenie sprzed dwunastu lat, kiedy to Zlińcy splądrowali ziemie należące do Wiesława.

Bolko, pacholęciem jeszcze będąc, poprzysiągł srogą zemstę i właśnie wcielał ją w życie, na czele sporej i nieźle uzbrojonej drużyny.

Oblężenie grodu Raj trwało już kilka miesięcy. Warownia, otoczona dębowym częstokołem i położona na szczycie o bardzo stromych zboczach, nie była łatwym kąskiem. Nie bez znaczenia pozostawała też determinacja Jaćwingów, których

los w przypadku przegranej był przesądzony i zdecydowanie godny pożałowania.

Po wielu miesiącach bezowocnego oblężenia w szeregi drużyny Bolka zaczęło wkradać się zwątpienie. Obleganie bywa bowiem równie uciążliwe i dla obleganych, i dla oblegających.

Z opresji wybawił wodza fortel. Przekupił mianowicie jednego z towarzyszy Stekinta workiem bursztynów. W tamtych czasach bałtyckie złoto było w wyjątkowo dobrej cenie. Jantar był bardzo modny. Trafiał nawet w najodleglejsze zakątki rzymskiego imperium.

Wiarołomny Jaćwing zamordował strażników i nocą ciemną, bezgwiezdną i wietrzną wbił swemu wodzowi nóż w plecy, po czym otworzył najeźdźcom bramy grodu. Zwycięstwo było błyskawiczne i całkowite.

Zdrajca nie przewidział jednak tego, że Stekint, który był nie tylko plemiennym wodzem, ale i potężnym czarownikiem, doczołga się resztkami sił nad brzeg jeziora, przemieni się w świętego węża i na dodatek zdąży rzucić klątwę zarówno na zdradzieckiego pobratymca, zwycięzców, jak i na samo miejsce bitwy.

Losy drużyny Bolesława skrywają, jak to się mawia, mroki dziejów. Zdrajca zmarł podobno w przeciągu kilku miesięcy od klęski grodu Raj na dżumę, która, o dziwo, tylko jego dotknęła.

Losy samego wzgórza dają do myślenia.

Po klęsce Jaćwingów gród Raj zostaje odbudowany przez litewskiego księcia Trojdena i zmienia nazwę na Rajgród.

W 1360 roku Kazimierz Wielki nakazuje kasztelanowi wiskiemu budowę kamiennego zamku na terenie przeklętej góry. Zanim dzieło dobiegło końca, zamek zniszczyli Krzyżacy. W 1568 roku miasto Rajgród niszczą Tatarzy.

W czasach powstania kościuszkowskiego łupią je z kolei Prusacy.

Po klęsce powstania styczniowego władze carskie w ramach represji odbierają Rajgrodowi prawa miejskie, doprowadzając do upadku handlu.

W czasie I wojny światowej miasto zostaje doszczętnie zniszczone na skutek ostrzału ciężkiej artylerii pruskiej. W latach 1939-41 Sowieci wywożą wiele rodzin na Sybir. Okupacja niemiecka z kolei doprowadza do holokaustu ponad 1200 miejscowych Żydów.

Długo można by wyliczać plagi, które dotknęły to niewielkie, malowniczo położone miasteczko. Ile z nich wiąże się z klątwą Stekinta, nie sposób rozsądzić. Dzisiaj ciągną przez tę turystyczną miejscowość tysiące tirów, obrzydzając życie zarówno miejscowym, jak i przyjezdnym. Władze jednak upierają się, by tranzyt na Wschód biegł tym, a nie innym, znacznie mniej uciążliwym dla ludzi i przyrody korytarzem przez Łomżę.

Co jednak ciekawe, święte węże czczono na Litwie, ostatnim schronieniu wymarłego ludu Jaćwingów, jeszcze w początkach XX stulecia, ponad sześćset lat po przegranej Stekinta.

Uważano je za dobre duchy domu, a w szczególności gumna. Co kryje się pod pojęciem „święty wąż wodny", trudno dziś z całą pewnością ustalić.

Najprawdopodobniej były to pospolite, zarówno w Polsce jak i na Litwie, zaskrońce, żywiące się głównie myszami i żabami.

Równie trudno dociec przyczyny tej szczególnej atencji, jaką darzono średnich rozmiarów niejadowite gady z parą żółtych

plam w miejscu, gdzie zwykle u zwierząt znajdują się uszy. Węże uszu nie posiadają i najprawdopodobniej są całkiem głuche. Być może chodziło w tym szczególnym pradawnym rytuale o obronę wiejskich gospodarstw przed uciążliwymi gryzoniami.

Kto wie?

Tradycja nakazywała wystawianie im przed progiem domu po zachodzie słońca miseczki z mlekiem.

Ofiara miała chronić ludzi i domowe bydlątka przed złymi duchami.

Coraz mniej nas wierzy w dobre i złe duchy.

Jeszcze mniej zapewne składa im ofiary. Przetrwała jednak legenda.

43.

Piekielne wrota

W pierwszych dniach stycznia Biebrzę skuł lód. Ucichły bagienne łąki, pola i torfowiska. Na otwartych przestrzeniach mokradeł niewiele pozostało zwierząt.

Łosie skryły się w olszowych lasach. Wilki podążyły ich śladem. Tylko orły krążyły wysoko, wypatrując zajęcy, kuropatw, cietrzewi.

Biel i czerń. Tak większość z nas postrzega koloryt stycznia. O śniegu zwykło się bowiem mawiać, że jest biały.

Bartłomiejowi śnieg nigdy nie wydawał się biały.

O świcie dźwięczał mu odcieniami różu, by wraz z podnoszącym się słońcem, w głębi cieni, odziewać się w barwę niebieskawą, z odcieniem paryskiego błękitu.

Gdy chmury nadciągały nad Biebrzę, tak zwana biel umykała w kierunku zimnego szafiru lub brudnego granatu. Kierując wzrok w stronę cieni, widział go brunatnym. Gdy zaś spoglądał w przeciwnym kierunku, niby to biały śnieg zaskakiwał go szeroką paletą odcieni srebra.

Bartłomiej czuł barwy jak mało kto, nie posiadał jednak ani palet, ani pędzli, ani farb, ani wiedzy, którą adepci sztuki malarskiej zwykle nabywają w warsztacie mistrza.

Miał jednak w sobie to coś, co dla rasowego malarza jest niezbędne – zmysł obserwacji i nieposkromioną chęć do opisywania świata w sobie tylko właściwy sposób.

Urodził się dawno temu nad Biebrzą, w okolicach dzisiejszej wsi Wroceń, jako pierwszy i jedyny syn rybaka. Bartłomieje od wielu pokoleń żyli na bagnie, płodząc synów i przekazując im tajniki rzecznego rybaczenia.

Od wiosny do jesieni, rok po roku, jeździł z ojcem na rzekę wąską, drewnianą łodzią, zwaną w tej okolicy duszyhubką. Stawiał sieci i wybierał rybę. Zimą naprawiał sprzęt, smołował łódź i pomagał w gospodarstwie. W wolnych chwilach wypuszczał się samopas na biebrzańskie pustkowia, by oglądać świat.

Kilka razy do roku, od wielkiego dzwonu, a szczególnie w odpusty, wraz z matką i ojcem odwiedzał miasteczko Goniądz. Tam właśnie, podziwiając freski i obrazy w parafialnym kościele, chłopiec zrozumiał, że świat można farbami nie tylko opisywać, ale i go interpretować. W goniądzkiej świątyni poprzysiągł sobie, że pewnego dnia zostanie prawdziwym malarzem.

Nie podzielił się jednak tym jakże osobliwym marzeniem z rodzicami.